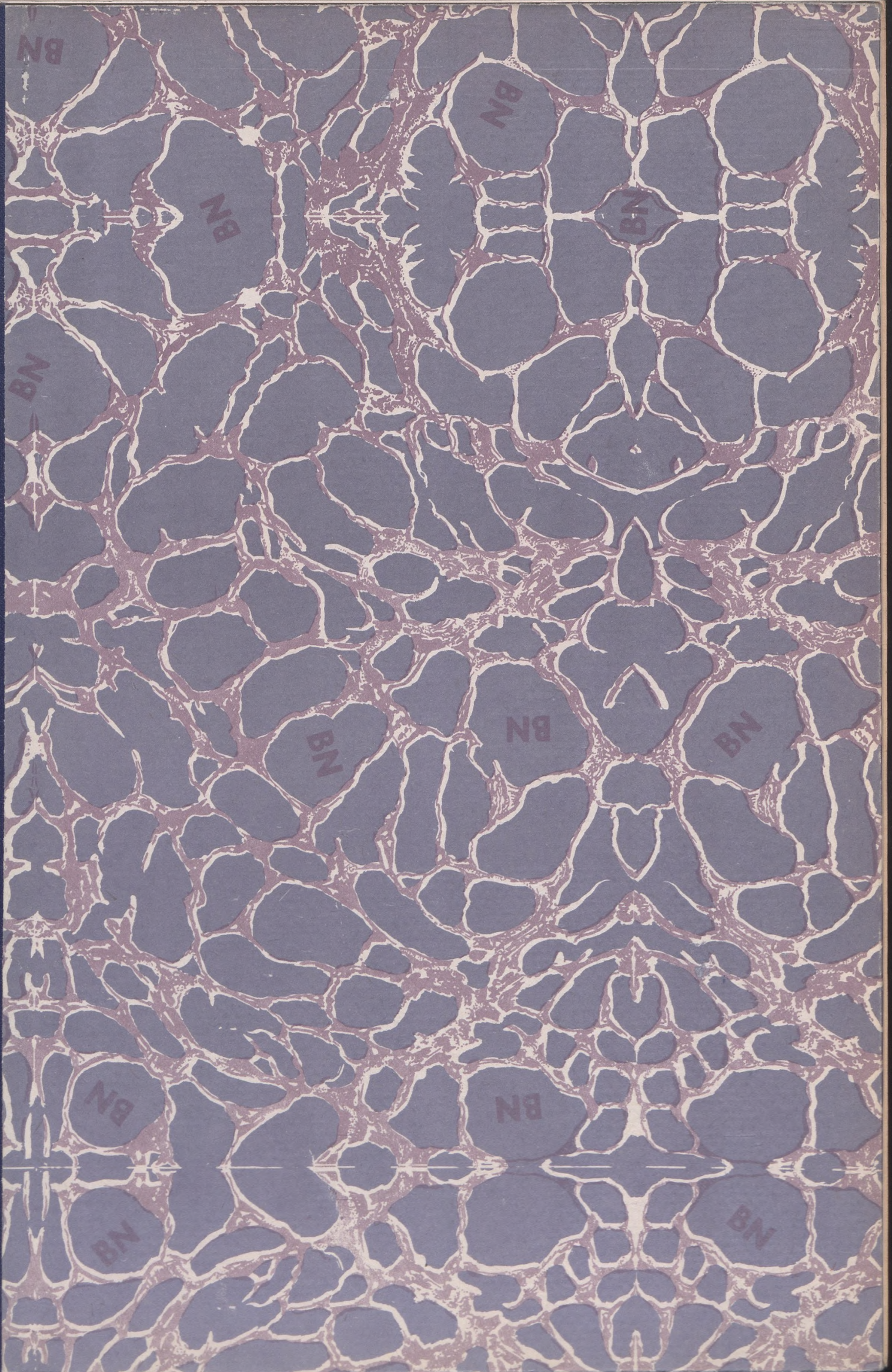
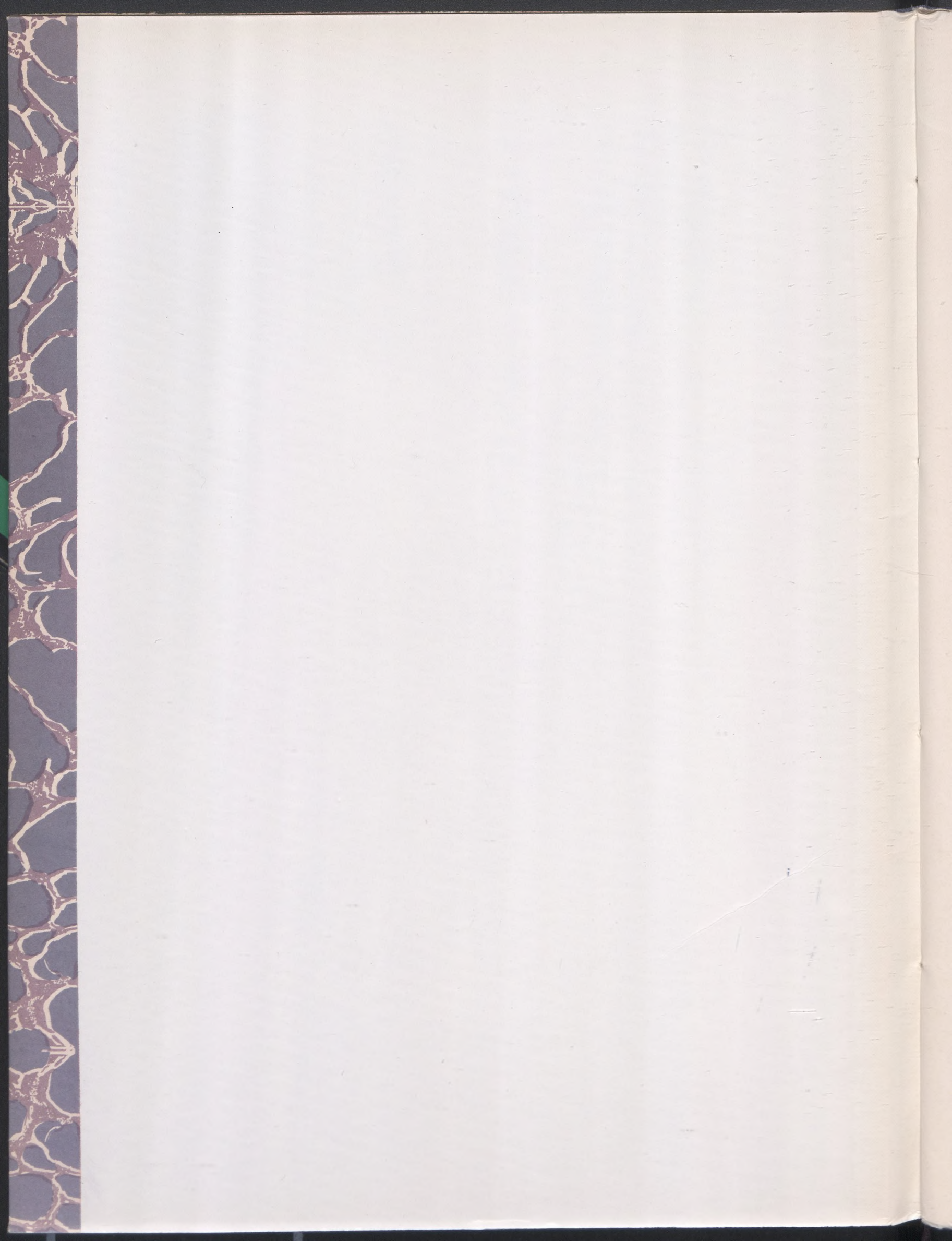
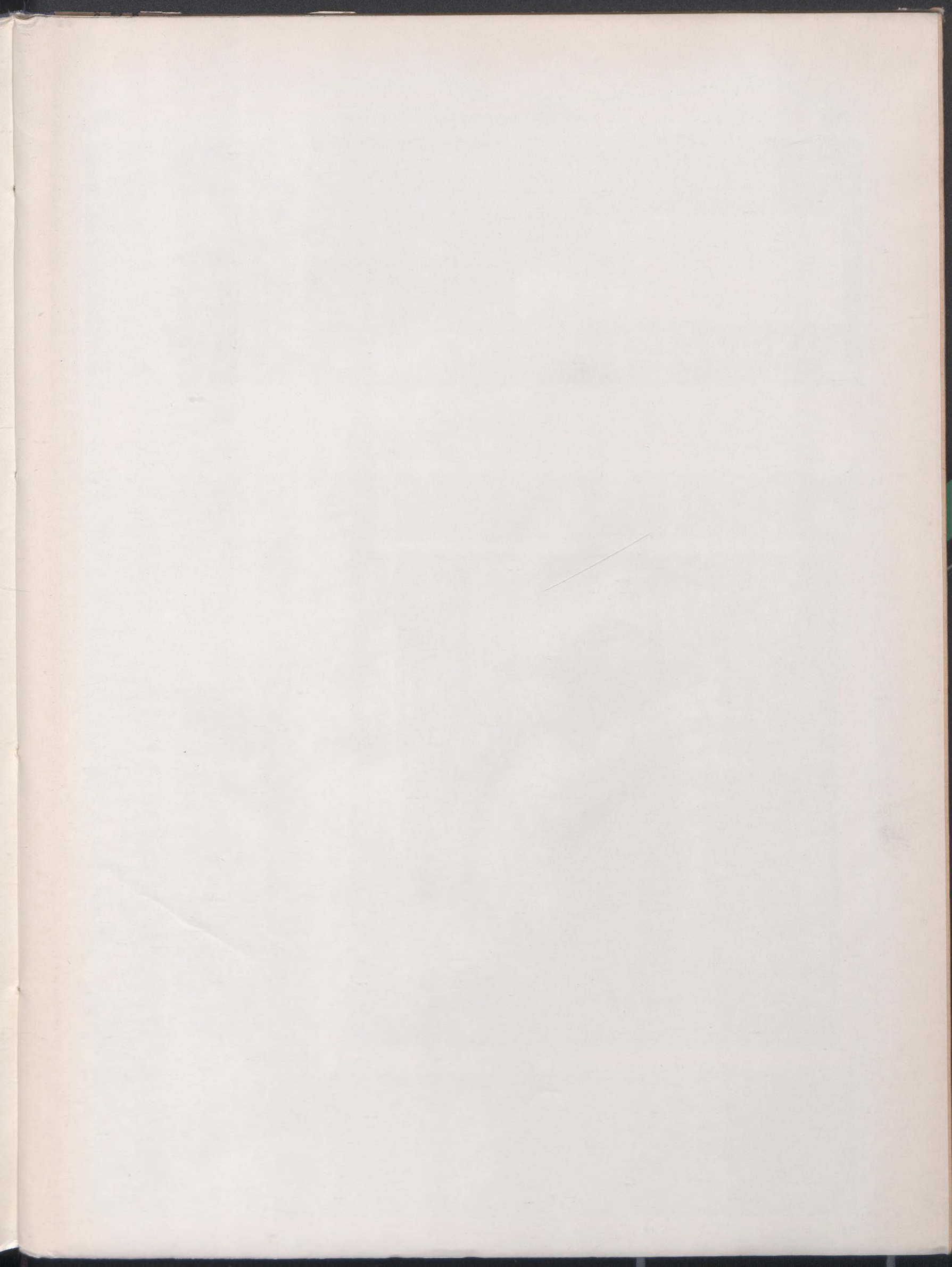


623405\76









III 623.405/76

30 000

Nr. 76.

Wtorek dnia 20 czerwca 1939 roku

Cena 10 gr.



# HARRY DICKSON

## PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

# MISTRZ CZARNEJ MAGII





# HARRY DICKSON

## PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

# Mistrz czarnej magii

### Harry Dickson obrońca uciśnionych

Tom Wills, uczeń Harry Dicksona, słynnego detektywa londyńskiego, zajęty był akurat dość dziwną czynnością. Uzbrojony w duże nożyce, w zeszyt i spory słój kleju — młody człowiek, otoczony całą pliką wielkich gazet londyńskich — wycinał z nich większe i mniejsze skrawki, które po tym nalepiał w zeszyt.

— Wyglądasz jak redaktor jakiegoś pismka prowincjonalnego, które nie stać na ani jednego pracownika, a które nie żałuje kleju.

Harry Dickson uśmiechnął się. Był dziś w dobrym humorze. Miał przed sobą kilka godzin wolnych, a tytuł, jaki ostatnio nabył i zmieszał z polecenia Mrs. Crown, swej starej gospodyni, był istotnie bardzo dobry.

Tom Wills na uśmiech odparł z uśmiechem:

— Niedługo koniec, mistrzu. Nie brak i tej sprawy w naszych dziennikach. Będziemy zaraz poinformowani jak najdokładniej. Jeden zeszyt jest już gotowy. Czy nie zechciałby go pan przejrzeć? Dużo w nim ciekawego.

Detektyw wziął z rąk ucznia zeszyt z wycinakami i zagłębił się w ich lekturę.

Przez kwadrans slychać było w gabinecie przy Baker Street tylko szelest wielkich płacht papieru, pykanie fajki i odgłos nożyc, krających papier.

Cisze przerwał jęk hamulców, samochodu, zatrzymującego się pod samym domem.

— Mamy gościa, Tomku, — rzekł detektyw.

Tom podbiegł do okna. Pod bramą stał duży samochód osobowy.

Po chwili rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych. W następnym momencie mrs. Crown — mogła to być tylko ona jedna — puknęła do drzwi gabinetu.

— Come in, — rzekł Dickson.

Stara gospodyni zameldowała od proga:

— Jakaś dama, w żałobie, chce z panem mówić. Powiada, że sprawa jest pilna. Przyjechała wozem niebieskim, prawie granatowego koloru, zamkniętym, Nr. 4455. Szofer ma szpakowate wąsy a po nosie poznaje, że zagląda do butelki częściej, niż do swojej maszyny. Czy ta pani może wejść?

Gdy gospodyni recytowała w ten sposób

wszystko co spostrzegła — Dickson spojrzał na Tomę z zadowoloną miną.

„Nareszcie się nauczyła“ — mówiły oczy detektywa.

Istotnie Harry Dickson już dawno domagał się od swej gospodyni, aby nie tylko przyglądała się uważnie gościom, ale aby starała się zapamiętać również wygląd ludzi trzecich, towarzyszących przybyłym.

i oto właśnie, stosując się do życzenia swego pracodawcy w ten sposób zameldowała przyłycie damy w żałobie.

Detektyw skinął głową.

— Doskonale, mistress Crown. Proszę poprosić panią Moorin.

Gospodyni otworzyła szeroko oczy:

— Kiedy, proszę pana, ta pani nie podała swego nazwiska...

Dickson zwrócił się do Toma:

— Jak się nazywa kasjer, który miał skraść ćwierć miliona funtów?

— Cheffield Moorin.

— A jak na imię jego żonie?

— Edyta z Walkerów.

— Dobrze. Niech zatem wejdzie pani Edyta z Walkerów Moorin. Spodziewałem się tej wizyty. Ta pani jest w żałobie, nieprawda?

Drzwi się otworzyły i w progu stanęła kobieta w czerni.

Poprzez woal trudno było ustalić jej wiek.

— Zechce pani sięść, — detektyw wstając na powitanie wskazał jej miejsce. — Jestem Harry Dickson. Tomku, — zwrócił się detektyw do swego ucznia, — przepraszamy cię na chwile.

Dopiero, gdy Tom Wills wyszedł, dama odchyliła woal. Na jej twarzy malowała się boleść wielka i ślady przelanych łez. Mimo to widać było, że mrs. Moorin nie liczy więcej niż lat trzydzieści kilka i że jest osoba doprawdy piękną.

Dickson ocenił to wszystkim jedynym rzutem oka.

— Mam zaszczyt z panią Moorin, nieprawda?

Dama skinęła głową nie bez wyrazu zdumienia.

— Małżonek pani podejrzany jest o wielką kradzież. Pani zaś wierzy w jego niewinność i chciałaby to światu udowodnić.

— Tak jest.

— Mąż pani zbiegł, o ile mi wiadomo, co oczywiście wymaga podejrzenia przeciwko niemu.

— Mąż zbiegł, gdyż wiedział, że zostałby osadzony w więzieniu. Pozostawił mi list, w którym przysięgał mi na głowę dziecka, które miało przyjść na świat, a którego oboje bardzo pragnęlibyśmy, że jest niewinny. Prosił, abym czyniła wszystko, aby go oczyścić z zarzutów.

— W międzyczasie dziecko zmarło i jest pani po nim w żałobie. Część własnego majątku i wszystko co mąż pozostawił wpłaciła pani do banku na pokrycie strat, które powstały nie z powodu nadużycia, ale co najwyżej pewnej nieostrożności męża pani... Teraz środki pani są na wyczerpaniu i przez dwa długie tygodnie nie decydowała się pani na przybycie do mnie i zaproponowanie mi współpracy. Słyszała pani, że Harry Dickson pobiera bardzo wysokie honoraria i to panią odstraszało..

Młoda kobieta aż się uniosła z fotelu:

— Skąd pan wie o tym? Czy pan w myślach ludzkich umie czytać?... Skąd pan znał moje nazwisko? I moje myśli najskrytsze?..

Dickson uśmiechnął się:

— Nie czytam w myślach, ale czytam poprostu dzienniki i interesuję się bieżącymi sprawami kryminalnymi. Gdyby nie to, że bawiłem ostatnio przez kilka tygodni we Francji — jużbym dawno zajął się tą kwestią, nie licząc na wynagrodzenie. Harry Dickson liczy sobie bowiem istotnie bardzo wysokie honorarium z chwilą, gdy ma do czynienia z bogaczami, ale właśnie dla tego gotów jest w każdej chwili stanąć bezinteresownie w obronie ludzi niezamożnych a uciśnionych.

— Mimo wszystko, jest pan doprawdy genialny, — rzuciła pani Moorin.

Detektyw machnął dłonią:

— Umieć tylko obserwować i wyciągać z mych obserwacji wnioski. To cała moja tajemnica. Ale nie odbiegajmy od tematu. Wprawdzie dzienniki podawały już niemal wszystko w tej sprawie, mimo to, prosiłbym panią, aby mi zechciała jeszcze raz wszystko wyłożyć. Proszę nie przemilczać najdrobniejszych szczegółów. Nieraz właśnie te szczegóły są najważniejsze.

Mrs. Moorin zaczęła:

— Mąż mój jest starszy ode mnie o kilkanaście lat. Będąc na bardzo dobrym stanowisku, otoczył mnie nie tylko uczuciem, ale i wszelkimi wygodami. Jestem mu za to szczerze wdzięczna i mam dla niego niesłabnące od lat uczucie. Byliśmy szczęśliwi. Szczęście nasze maciła tylko myśl, że nie mamy dzieci. Jedyne dziecko, jakie na świat przed kilku laty przyszło, zmarło w kilka godzin po urodzeniu. Tym razem — właśnie w ostatnich dniach byłam znów w stanie błogosławionym i oboje czekaliśmy na to radosne wydarzenie z niecierpliwością.

Mąż mój jest szefem wydziału depozytów w Banku Ziemskim. Jest to stanowisko odpowiedzialne. Mąż obraca wielkimi, zawrotnymi wprost sumami i od lat nie miał wypadku, aby brakował mu w kasie choćby jeden pens.

— Przepraszam panią na chwilę, — przerwał detektyw i klasnął w dłonie.

W progu stanął Tom.

— Proszę cię o fotografię banku.

Tom Wills przyniósł zeszyt:

— To wszystko, co znalazłem. Jest tych fotografii kilkanaście.

— Dziękuję ci. — Detektyw zwrócił się do młodej kobiety. — Zechce pani przyrzec się tym foto-

grafiom i wyjaśnić mi plan pokoi w banku.

Budynek mieścił się przy zbiegu Parker-Place i Banker Street, był dwupiętrowy o dwóch tylko wejściach. Jedno wiodło na ulicę, drugie, od tyłu — do parku, przylegającego do gmachu.

Do pokoju kasowego prowadziły jedyne drzwi, łączące ten pokój z biurem ogólnym wydziału depozytów. Jedyne okno w obu tych pomieszczeniach, znajdujące się w pokoju kasowym, było zapatrzone w tak gęstą kratę, że nawet dziecko nie przesłoby pomiędzy okuciami.

Te szczegóły, na podstawie fotografii, podała detektywowi żona kasjera.

Dickson począł teraz monologować:

— Stół z pieniędzmi stoi o dwa metry od okna, w ten sposób okratowanego, że pomiędzy otworami duża ręka nie przejdzie... A zatem jakimś hakiem czy czymś w tym rodzaju, nikt ty'u banknotów na taką odległość nie mógłby zagarnąć. To trzeba było koniecznie wziąć w ręce. A tego ci panowie ze Scotland Yardu nie stwierdzili.

Nagle Dickson ujął słuchawkę telefonu:

— Tu Dickson, — rzekł po połączeniu się z centralą Scotland Yardu. — Proszę z inspektorem Jenkinsem.

Inspektor snąc się odezwał, bo Dickson po wymianie z nim kilku uprzejmych słów, zagadnął go, czy ma jeszcze fotografie pokoju bezpośrednio po kradzieży.

— Co? — rzekł Dickson, — to wspaniale. Jeszcze pan tego pokoju nie odpieczętował?... Przejdzie się pan tam ze mną?... Za kwadrans! Doskonale. Good bye!

Dickson zatarł ręce.

— Wszystko się składa jak najlepiej. Ani przez chwilę nie sądziłem, że będę mógł dokonać oględzin pokoju, w którym mąż pani pracował, w takim stanie, w jakim go pozostawili złoczyńcy. Bo ja ufam, że to nie mr. Moorin zbiegł z pieniędzmi.

Młoda kobieta podniosła na detektywa swe smutne oczy:

— Nie wiem jak mam panu dziękować za te słowa.

— Podziękuję mi pani za czyny, proszę pani. Narazie proszę być dobrej myśli. Uczynię wszystko co będzie w mej mocy.

Mrs. Moorin wstała.

— Jeszcze raz dziękuję najmocniej. Jest pan prawdziwym obrońcą uciśnionych..

— Jestem tylko oskarżycielem winnych, proszę pani...

Dama w żałobie opuściła gabinet detektywa.

## Pierwszy ślad

— Hallo, jak się mamy mr. Dickson. Francja ładny kraj, nie prawda?

— Jak się pan ma, Jenkins. Francja jest oczywiście ładnym krajem, ale w Paryżu są spelunki wcale nie gorsze od naszych.

— Wiadoma rzecz. Jak w każdym dużym mieście. Ale teraz zajmiemy się naszym wypadkiem. Jak widzę, mr. Moorin pana nie zainteresował. Bardzo dobrze. Jestem pewien, że nie znajdzie pan nic a nic. Już ja tam przeszukałem każdy kąt i przetrząsałem pół Londynu. Jak kamień w wodę. Proszę bardzo, niech pan wejdzie pierwszy.

Byli przed wejściem do Banku Ziemskiego.

Jenkins już zameldował telefonicznie swa wizytę u dyrektora, który witał teraz z wielkim wyłanem Dicksona.

Inspektor złamał pieczęcie u drzwi:

— Jesteśmy na miejscu, — rzekł, — otwierając pokój. Przeszli przez próg i Jenkins wskazał na biurko obok dużej kasy ogniotrwałej.

— Tutaj, przy tym stole pracował Cheffield Moorin. Nie wiem, czy panu wiadomo co podaje żona Moorina. Otóż wieczorem, gdy Moorin zamykał kasę i układał banknoty, rozległ się dzwonek telefonu. Dzwonił rzekomo sąsiad, który doniósł, że żona kasjera uległa nagłemu atakowi słabości i jest umierająca. Jeśli chce ujrzeć swą żonę jeszcze przy życiu — winien przyjechać do domu niezwłocznie.

Sumienny i pedantyczny urzędnik, śmiertelnie przerażony, pozostawił wszystko, zamknął za sobą drzwi, po drodze, z daleka, doniósł szefowi biura, że biegnie do swej umierającej żony i opuścił gmach banku.

Moorin zastał swą żonę w najlepszym zdrowiu: wraz z matką była ona zajęta przygotowaniem kaftaników dla mającego przyjść na świat niemowlęcia.

Uradowany z tego stanu rzeczy, ale zaniepokojony o swą kasę — Moorin czym prędzej wrócił do banku. Stwierdził brak pieniędzy, olbrzymiej sumy, bo 250.000 funtów i zupełnie złamany miał tylko jedno na swe wytłumaczenie: że mianowicie on sobie tej kwoty nie przywłaszczył. Gdy się jednak przekonał, że dochodzenie kieruje się przeciwko niemu — zbiegł. Żona jego twierdzi, że nie przeżyłby zamknięcia w więzieniu.

Inspektor Jenkins zamilkł na chwilę, po czym wskazał szerokim gestem na pokój i jego urządzenie.

— Niech pan zważy, mr. Dickson, że ten pokój ma tylko jedne drzwi. Kasjer zamknął je dokładnie, na klucz i zamek uszkodzony nie został. Zresztą, pokój, w którym stoi kasa, przylega do biura. Pracuje w nim i pracowało w chwili kradzieży kilkunastu urzędników, którzy musieliby każdego intruza widzieć. Słyszeliby coś wreszcie.

— A okno? — zauważył detektyw.

— Okno było otwarte — to prawda, ale jak pan widzi, mr. Dickson, okno to zaopatrzone jest w mocne kraty o otworach tak małych, że nawet dziecko przez nie nie przejdzie. Którędy zatem miałby się ów złodziej przedostać?... Sam pan przyzna, że to są bajki dobre dla dzieci...

Dickson skinął głową:

— Nie pierwszy rzut oka, istotnie.

— A nie na pierwszy — też wszystko przeciwko niemu przemawia. Przekona się pan o tym. Zresztą ta jego ucieczka...

Prawda... Święta prawda. Na złodzieju czapka gore. Ale teraz będę się musiał zabrać do jak najdokładniejszych oględzin.

— Już ja tu wszystko oglądałem. Może pan być spokojny, Dickson, że nic nie uszło mojej uwagi. Kilka razy byłem w tym pokoju po parę godzin. Znam każdy kąt na pamięć.

Dickson podeszedł do okna i zaczął badać parapet

— To bardzo możliwe, że przejrzał pan wszystko jak najdokładniej, ale ze mnie już taki niewierny Tomasz, że nie wierzę póki się sam na własne oczy nie przekonam. Obejrzyjmy sobie zatem najpierw dokładnie to okno...

Detektyw wychylił się z okna i badał mur. Potem wzrok jego przebiegł po parku. Drzewa były tu wysokie a niektóre rosły tuż koło domu.

Dickson opukał starannie nawet sufit, poczym wyciągnął się jak długi na podłodze i znów krok za krokiem badał jej każdy centymetr kwadratowy.

— Jeśli to panu sprawia przyjemność — bardzo proszę. Niech sobie pan tak spaceruje na czworakach. Ja już to wszystko oglądałem. Nic tu nie ma godnego uwagi, zapewniam pana, mr. Dickson.

Dickson nie słuchał inspektora; oczy jego zago-rzały nagle mocnym blaskiem, brwi się zmarszczyły a usta ścisnęły. Nareszcie! Ślad znaleziony! Rzecz stawała się odrązu jasna, zupełnie jasna

Co takiego znalazł detektyw?...

Oto w chwili, gdy Moorin wracał od telefonu — pełen trwogi o życie swej żony — w pośpiechu wyrzucił butelkę z gumą arabską. Klej wylał się na podłogę i po kilku minutach częściowo zastygł, tworząc znakomity podkład pod ślady.

Ślady te właśnie detektyw zauważył. Oczywiście, że trzeba było jego oka i jego doświadczenia, aby ten właśnie szczegół zauważyć. Jenkins w ogóle o własnym kleju nie wiedział...

Po tym odkryciu detektyw jeszcze raz wrócił do okna i jakby coś mierzył oraz pasował.

Wiedział teraz wszystko, lub prawie wszystko. Zwrócił się tedy do inspektora:

— Złaje mi się, że możemy już pójść. Ja swoje zrobiłem. Doskonale się stało, że ten pokój był jeszcze zamknięty. Gdyby tutaj ktoś cokolwiek ruszał — już bym tu nie miał nic do roboty.

Jenkins spoglądał na Dicksona ze słabo ukrywaną zawiścią. Pomyśleć tylko, taki Dickson — przychodzi na kilkanaście minut, kładzie się na podłodze i od razu coś ustala. A on — Jenkins — przesiadywał tutaj całymi godzinami i co wykrył?

— Guzik z petelką! — odpowiedział sam sobie detektyw.

— Co za guzik z petelką? — rzekł Dickson. — Czy to się ma do mnie odnosić?... Twierdzi pan, że ja nic nie ustaliłem, że nic nie znalazłem...

— Nie. Odnosiło się to do mnie. Myślałem głośno. Choć, jeśli mam być szczerym, nie wierzę, aby i pan coś znalazł. Bujać — to my, a nie nas...

Dickson machnął ręką.

— Pomówimy o tym kiedy indziej. Przekonam pana, że w tym pokoju przed kilku minutami poczyniłem ustalenia o wielkiej i zasadniczej doniosłości. Przekona się pan...

Otaj wyszli.

— Wraca pan do siebie? — zagadnął inspektor detektywa.

Nie.

A dokąd pan idzie?...

Dickson wiedział, że w ten sposób Jenkins chce zeń wydobyć, jakie to odkrycie poczynił. Ale mimo to detektyw nie widział racji, dla którejby nie miał powiedzieć Jenkinsowi dokąd idzie.

— Idę, widzi pan, do sklepu zoologicznego

— Do jakiego sklepu?

— Zo-o-lo-gicz-ne-go!

— Po piasek z miętą dla kotka, po mrówcze jaja dla rybek?... A może pan hoduje kury rasowe? Po panu można się wszystkiego spodziewać...

— Uważa pan?... Czy zresztą hodowla kur albo złotych rybek jest rzeczą tak bardzo zdrożną?... Jak pan sądzi, Jenkins?

— Daj pan spokój, Dickson. Pytam pana, dokąd pan idzie. Oczywiście, że mi pan może na to pytanie nie odpowiedzieć.

— Ależ odpowiadam na nie chętnie. Idę do sklepu zoologicznego. I to nie do jednego sklepu tego rodzaju.



Jenkins zaperzył się:

— Czy to ma mieć coś wspólnego z tą sprawą?

Dickson spojrział prosto w oczy inspektorowi:

— Tak jest. Ma to bardzo wiele wspólnego

— Więc pytam pana co mają wspólnego te sklepy zoologiczne z kradzieżą Moorina? Czy mi pan na to pytanie też zechce odpowiedzieć?

Dickson poklepał swego kolegę po ramieniu i odparł już bez cienia ironii, czy nawet dobrego humoru:

— Niestety, Jenkins. Na odpowiedź na to pytanie jeszcze teraz nie pora. Good bye, Jenkins. Pogadamy o tym jeszcze.

Dickson ruszył swoją drogą.

★

Niestety, poszukiwania w sklepach zoologicznych rezultatu nie dały. Nie rzuciły nawet najbliższego światła na niektóre jeszcze wciąż ciemne szczegóły tej sprawy.

Dickson wraz z Tomem ze zwykłą sobie dokładnością poczęli systematycznie odwiedzać wszystkie tego rodzaju sklepy w całym Londynie.

Trwało to całe tygodnie i znów jakoś rezultatu tych poszukiwań nie było widać.

A przecież to był jedyny sposób, aby w sprawie włamania w banku posunąć się naprzód.

★

Minęły dwa miesiące, a Dickson ani krokiem nie posunął się naprzód w tej sprawie. Jenkins triumfował. Informował się nie bez wyraźnej ironii, jak się mają złote rybki. Kpił sobie wyraźnie z detektywa.

W tych warunkach, gdy już i Dickson zdawał się kłaść krzyżyk na całej sprawie, zaszła okoliczność nowa i zupełnie niespodziewana, która przyniosła zdecydowany zwrot w śledztwie.

## Młody lord i jego siostra

Dickson z pasją palił fajkę. Gryzł mocno cybuch, jakby chciał na nim cały swój gniew wyrzucić za to, że sprawa kradzieży w banku ani na jotę nie posunęła się naprzód.

Tom chodził nastroszony jak buldog i lypał oczami. Zły humor udzielił się nawet poczciwej mrs. Crown, która gderiała więcej niż zwykle i stale miała coś komuś do zarzucenia.

Właśnie mrs. Crown, z głośnym szuraniem swych partofli kierowała się ku drzwiom od wejścia. Ktoś dzwonił.

— Państwo czego sobie życzą?

W progu stała jakaś para.

— Chcielibyśmy się widzieć z mr Dicksonem.

— Pan nikogo nie przyjmuje. Zresztą pan wyjechał.

— Nie przyjmuje, czy wyjechał, droga pani?

— Jaka ja tam jestem droga pani... Jestem mrs Crown, na którą mr Dickson stale krzyczy. Dopiero co mnie skrzyczał, dalibóg, że nie wiem za co.

— Więc mr Dickson jest w domu?

— Kiedy mówię, że wyjechał.

— Wyjechał i krzyczał?...

— Więc niech będzie, że jest. Ale kazał powiedzieć, że wyjechał.

Dopiero teraz poczciwa gospodyni detektywa podniosła oczy na swych rozmówców. Była to para młodych ludzi, bardzo jeszcze młodych. Podobni byli do siebie bardzo, a oboje byli bardzo przystojni:

Mr Crown uśmiechnęła się:

— To państwo są brat i siostra?

— A tak. Widać, że się pani zna na ludziach — rzekł młody człowiek z miłym uśmiechem.

— A no, parę lat już się na świecie przeżyło. A tutaj, w tym obowiązku, człowiek się na rozmaitych ludzi napatrzy...

— Więc chyba najgorsi nie jesteśmy.

— Nie, tego nie powiem.

— Zatem poczekamy tutaj. Nie zajmujemy panu Dicksonowi wiele czasu. Proszę. Tu jest moja karta. A ta pani — to istotnie moja siostra.

— Zobaczmy, czy mr Dickson państwa przyimie. Proszę wejść do salonu.

— „Lord Henri Paterville“ — czytała gospodyni bilet wizytowy.

W zamyśleniu wzięła mrs Crown srebrną tackę z przedpokoju i z biletem wizytowym w jednej ręce i tacką w drugiej — weszła do gabinetu Dicksona.

Ujrawszy swą gospodynię w ten sposób meldującą kogoś — Dickson od razu się rozchmurzył.

— Tomku! Chodź-że tu prędzej! Spójrz na naszą mrs Crown. Oto najnowszy sposób meldowania gości. I to gości, których ja przyjmować w ogóle nie chcę.

Tom przybiegł ze swego pokoju i od proga wybuchnął głośnym śmiechem.

— Co się stało? Z czego pan się tak śmieje? Babką pana mogłabym być, a pan sobie ze mnie kpinki stroi...

Dickson spoważniał:

— Nikt z pani nie kpi, mrs Crown. Tylko, że wytworne gospodynie przynoszą bilet wizytowy na tacy, a nie tacę w jednym ręku, a bilet w drugim...

Mrs Crown rozgniewała się nie na żarty. Odłożyła tackę:

— Ja nie jestem wcale pokojową, tylko gospodynią. Tacki już więcej brać nie będę. Proszę. Jakiś lord jest do pana.

Dickson nie był rad tej wizycie. Ale obawiał się gniewu swej gospodyni i już nic jej nie rzekł.

— Zaraz wyjdę do tych państwa — rzucił.

— A skąd pan wie, że jest ich dwoje?

— Słyszałem ich kroki na schodach.

Mrs Crown machnęła ręką. Ten gest miał znaczyć tyle, co: „Z tym człowiekiem i tak nigdy do ładu się nie dojdzie. Nigdy nie wiadomo, skąd się czegoś dowiedziało, a zawsze wszystko wie, wszystko widzi i wszystko słyszy...“

Po kilku chwilach Dickson powitał swych gości w salonie.

— Domyślam się, że sprowadza państwa do mnie sprawa ważna i pilna. Wsiadli państwo do najbliższej taksówki i rzucili mój adres. Mam jednak nadzieję, że wypadek był błahy i że nic się ani mylordowi ani jego siostrze nie stało.

Młodzi ludzie otworzyli szeroko oczy.

— Czy pan ma specjalnych ludzi na każdym rogu ulicy w Londynie? — rzucił lord.

— Czy pan jest jasnowidzem? — zaśmiała się jego siostra.

Dickson roześmiał się.

— Ani jedno, ani drugie, proszę państwa.

— W jaki sposób zatem dowiedział się pan, że wyjechałszy tutaj taksówką, a nie naszym własnym wozem, że mieliśmy jakiś wypadek i że jesteśmy bratem i siostrą.

— Nie przyszło mi to z wielką trudnością, proszę państwa. Trzeba tylko trochę wprawy i rutyny. Wprawy i rutyny w obserwacjach, które są podsta-

wa mojego zawodu. A potem już trzeba umieć z tych obserwacji wyciągać wnioski.

— A zatem nie jest pan w kontakcie z duchami?

— Nie, zupełnie nie. Ale mogę państwu wszystko wyjaśnić, mogę nawet mylordowi i mylady wyjaśnić, jaki jest cel ich wizyty u mnie...

— Słuchamy — rzekli oboje jednocześnie.

— O tym, że przybyli państwo taksówką — wywnioskować bardzo łatwo. Prawie wszyscy szoferzy taksówek londyńskich mają w swych wozach pledy dla pasażerów. Pledy te są pośledniego gatunku i bardzo łatwo włos z nich wychodzi. Oto kilka włókienek z pledu na pańskich spodniach, mylordzie...

Lord pochylał się, aby te włókna strzepnąć.

— Niech się pan nie fatyguje. To trzeba zczyścić szczołka. Trzymają się one mocno i są — jak pan widzi, sojusznikami detektywów.

— Detektywa, nie detektywów, bo takiego drugiego jak Harry Dickson, nie ma... — rzekła oczarowana młoda dziewczyna.

— Prawdę powiedziałaś, ale nie przerywajmy panu. Mr Dickson jeszcze nie skończył. Zaraz się dowiemy, skąd pan wie, że mieliśmy wypadek i w jakim celu tu przybyliśmy.

— Istotnie, zaraz się państwo dowiedzą. A zatem — jeśli chodzi o wypadek — to przede wszystkim nie słyszałem, aby pod moimi oknami zatrzymał się samochód. Na gładkim bruku opony wydają pisk, jęk czy zgrzyt — jak kto woli — bardzo głośny. Nie słyszałem odgłosu hamowanego samochodu. Jeśli zatem przyszli państwo pieszo, a jechali taksówką, to taksówka musiała ulec wypadkowi. Zresztą wasze obuwie wskazuje, że pewnie koło rogu Green Street, gdzie prowadzone są roboty ziemne, wóz wasz zarzucił. Cy mam rację?

— Najzupełniej!

— To zadziwiające, to cudowne — zachwycała się dziewczyna.

— Co do celu wizyty państwa, — to chodzi tu o jakieś medium. Może nawet przychodzą mylord i lady w sprawie seansów spirytystycznych, jakie się odbywają w zamku ciotki mylorda? Czy nie tak?

— Tak jest, Mr. Dickson. I twierdzę, że jest pan geniuszem.

— Czy zginęło coś komuś podczas tych posiedzeń? — postawił nowe pytanie detektyw, jakby nie dostyszał tego komplementu.

— Nie, gorzej jeszcze.

— Ktoś został zamordowany?

— Nikt nie został jeszcze zamordowany ale mamy wrażenie, że nasza ciotka, jeśli tak dalej pójdzie, zostanie wyzuta z ostatniego grosza. Naszym zdaniem, ciotka jest w rękach oszusta.

— Mylord i mylady są jedynymi spadkobiercami lady Pambroke, jeśli się nie myle.

Młody człowiek skinął głową.

— Ale proszę mnie nie posądzać, że działam z chęci zabezpieczenia swego przyszłego majątku. Tutaj chodzi o samą ciotkę, która przecież mieć może jeszcze długie życie przed sobą i o położenie kresu prosto rozbójowi, jaki się odbywa pod płaszczykiem spirytyzmu.

— Czy nie mógłby mi pan opisać takiego seansu? A przede wszystkim kto je organizuje, kto jest medium?

Lord Petterville nachmurzył się:

— Muszę panu powiedzieć, Mr. Dickson, że choć szczerze nienawidzę i podejrzewam tego czło-

wieka o bardzo ciemne sprawy, ale stwierdzić muszę, że jest medium niezrównanym.

— Czyni rzeczy nadprzyrodzone? Niepojęte? Tak pan chce powiedzieć?

W głosie detektywa była lekka ironia.

— Tak jest. Tak właśnie chcę powiedzieć. Tak jest...

— Moje doświadczenie uczy mnie, że w tych wypadkach im większe cuda — tym większe oszustwa. Małe nie specjalnie frapujące zjawiska mogą się dziać bez udziału szarlatana, do największych trzeba koniecznie szarlatana, wreszcie do największych — trzeba oszusta, a często zbrodniarza. Proszę mi zatem opisać taki seans.

— Z największą chęcią, ale czyby pan nie zechciał sam podczas takiego seansu asystować?

— Gdyby mnie lady Pambroke zechciała zaprosić...

— Nic łatwiejszego, Mr. Dickson. Przyśle panu zaproszenie. Zdemaskuje pan złoczyńcę. Jestem tego pewien.

Wizyta trwała już godzinę. Rodzeństwo pożegnało się.

Dickson odprowadził ich do drzwi z radosnym uśmiechem. Minał jego zły humor. Oto miał nową sprawę przed sobą. Nową i bardzo ciekawą. A zresztą — może przy tej drugiej i pierwsza się jakoś wyjaśni. Dickson miał mgliste przeświadczenie, że takie połączenie dwóch spraw nie jest wykluczone.

Detektyw podszedł do okna i przyglądał się młodemu rodzeństwu.

Nagle cofnął się od okna przerażony:

— Tomku, na dół, prędzej! Lord i jego siostra są w niebezpieczeństwie!

Dickson wybiegł z domu. Tom ruszył za nim.

★

W chwili, gdy młody lord znalazł się na chodniku przed domem, zamieszkałym przez Dicksona, ku swemu zdumieniu ujrzał swój własny wóz, stojący przed bramą.

Podszedł do szofera i zagadnął go ostro:

— Co to ma znaczyć, Bill? Skąd pan wiedział, że ja tu jestem?

Szofer milczał.

— Dlaczego pan nie odpowiada, Bill. A kto to jest ten jegomość obok pana? Co to ma znaczyć?

W tej samej chwili z wnętrza wozu wyskoczyło trzech ludzi, którzy porwali młodą dziewczynę i lorda, wrzucili ich do środka limuzyny i wóz ruszył pełnym gazem.

Właśnie w chwili, gdy z samochodu wypadli napastnicy — Dickson wybiegł na schody, aby stanąć w obronie napadniętych.

Dwaj napastnicy zajęli miejsca w wozie, trzeci właśnie rozruszał motocykl, by na nim umknąć w przeciwnym kierunku.

W chwili, gdy Dickson znalazł się na brzegu chodnika — już samochód był odległy o kilka set metrów, a motocykl — o kilkanaście. W pobliżu — ani śladu taksówki.

Bez chwili wahania, aby nie tracić drogiego czasu, Dickson wybiegł na jezdnię, dobył broń i mierząc strannie w kierunku nogi motocyklisty, pociągnął za cyngiel.

Padł strzał, ale jednocześnie z nim padł i... Dickson na bruk, bez przytomności.

Ktoś mu zadał silny cios w głowę i kula trafiła w jezdnię o parę kroków.

## Cudowne medium

Anglia jest klasycznym krajem spirytyzmu. Nigdzie nie ma tylu towarzystw metapsychicznych, tylu badaczy poważnych i amatorów zagorzałych, tylu mediów i kółek „okrągłego stołu” — i e jest ich właśnie w mglistym Albionie.

Lady Pembroke była już od dawna znana ze swych zamiarów w tym kierunku. W swym starym zamku urzędowała ta niemłoda już, ciotka lorda Petterville seanse głośne w całej Anglii i skupiające elite „badaczy” tej dziedziny.

Niejedno medium wyluskało już z zasobnej kasy tej bardzo bogatej arystokratki okrągłą sumkę. Niejeden człowiek obdarzony owymi niezwykłymi właściwościami potrafił wkraść się w łaski mylady.

To jednak, co się działo ostatnio w zamku lady — to już przechodziło dotychczasowe, rzeczy można tradycje, pod każdym względem.

Nowy jakiś mag, nowy czarodziej pochłonał swymi cudami całkowicie uwagę i umysł sędziwej arystokratki. Lady, przejęta jego „cudami”, które musiały być rezultatem zwykłych sztuk prestidigitatorskich, po prostu obsypywała go złotem i urzędowała seanse, jeden kosztowniejszy od drugiego.

Lord Petterville i jego siostra daremnie próbowali przemówić ciotce do rozsądku. Na ich perswazję miała tylko jedną odpowiedź:

— Obawiać się o swój spadek. Ale, zapanujcie sobie, że póki żyje — ja sama moimi pieniędzmi rządze!

Stosunki między młodymi ludźmi — sierotami od dzieciństwa — a ich ciotką stawały się coraz bardziej naprężone.

★

Służba kończyła właśnie przygotowania do najbliższego seansu.

Ze ścian zdjęto wszystkie obrazy, kinkiety itd., objął je czarna draperia, lub zastawiając czarnymi parawanami, sięgającymi do sufitu. Gruby dywan wschodni został usunięty — pośrodku zamprowinowano estradę, a obok ustawiono głęboki fotel.

Seans miał się zacząć za godzinę. Miało w nim wziąć udział kilku arystokratów, znanych w Londynie jako zagorzałych spirytystów.

Przygotowania były w pełnym biegu. Czuwała nad nimi sama mylady. — Dbała ona o to, aby wszystko zostało wykonane tak, jak sobie życzył tego Yorick Fieldertown — nowoczesny czarodziej i niezrównane medium.

Nagle, prowadzone półgłosem rozmowy zupełnie ucichły.

Przez salon przeszedł człowiek odziany we frak o długich kruczono czarnych włosach.

Był to Yorick Fieldertown.

Mistrz wiedzy tajemnej przeszedł przez salę, sprawdził, czy wszystko jest w porządku, zamienił z lady kilka słów, a w trakcie tej rozmowy patrzył jej w oczy w sposób dziwnie przenikliwy, pozym wyszedł z komnaty zamkowej.

Mineła długa godzina, a Fieldertown się nie zjawił.

Obecni poczuli się niecierpliwie. Niektórzy niepokojili się wręcz, czy lady, której również nie było, lub medium, coś się nie stało.

Wreszcie lady wyszła z tych samych drzwi, za którymi zniknął mistrz Fieldertown. Weszła na mównicę i zwróciła się do obecnych:

— Zechcą mi państwo wybaczyć to opóźnienie. Nasz mistrz wyszedł przed godziną do parku i do tej chwili nie wrócił. Szukaliśmy go, ale nie udało nam się go znaleźć.

— Co się stało?... Czy mu coś nie grozi?

Obecni stawiali te pytania, jeden przez drugiego.

— Nie na tym koniec, proszę państwa, — ciągnęła lady. — Mój siostrzeniec i siostrzenica nie wrócili do zamku, choć mi przyrzekli, że będą wczesniej i pomogą mi w przyjmowaniu państwa. Również i o nich się lękam. Nie wiem, kiedy wróca.

— Nie wróca wcale! — rozległ się jakiś donośny głos, ale i głuchy zarazem.

Oczy wszystkich skierowały się ku mistrzowi Fieldertown, który zjawił się nagle na sali.

— Dlaczego nie wróca? Czy spotkało ich jakieś nieszczęście?

Lady Pembroke, mimo wszystko kochała swych siostrzeńców i była tą wieścią głęboko zaniepokojona. Podbiegła do medium i schwyciła go za rękę:

— Czy grozi im niebezpieczeństwo?... Mów pan, mistrzu!

Mistrz podniósł dłoń powolnym ruchem do góry.

— Wybaczcie mi państwo dostojni i pani, czcigodna gospodyni, że ośmieliłem się spóźnić. Byłem właśnie w parku, gdy nagle naszedł mnie ów stan, kiedy mój duch odłącza się od ciała.

— I cóż duch twój widział, gdy odłączył się od ciała, mistrzu? — zagadnęła go równie patetycznym tonem.

— Mój duch, gdy tak błądził wolny w przestrzeni, dojrzał parę tych nieszczęśliwych młodych ludzi!

Głos był teraz głuchy, grobowy.

— Nieszczęśliwych? Dlaczego? Co ich spotkało złego?... Mistrzu, czekamy, mów-że na litość boska!

Yorick Fieldertown powiódł powoli swą delikatną białą dłonią po czole i odgarnął pukle czarnych włosów.

— Nie mogę powiedzieć nic więcej. Wiem, że są w niebezpieczeństwie i że tu nie wróca. Mój duch wstąpił znów potem w ciało i chwile jasnowidzenia pierzchny...

Mistrz znów powiódł dłonią po czole i westchnął głęboko. Jestem bardzo zmęczony. To nie ciało, ale mój duch jest właśnie tak bardzo zmęczony.

Powiódł jeszcze raz dłonią po czole...

— Nie wiem, czy będę w stanie wywiązać się należycie z wyczerpujących pokazów, które na dziś zapowiedziałem. Ale starań dołożę, jak zwykle, rzetelnych...

Po chwili dodał omdlewającym głosem: — Zechcą państwo sięść. Proszę o spokój...

Gdy cisza kompletna zapanowała, — Fieldertown wygłosił następujące przemówienie:

— Szanowne Panie i Panowie!

Na ostatnim seansie nie zdażyłem Szanownemu Państwu, z powodu spóźnionej pory, pokazać zjawiska, którebym nazwał zjawiskiem przenoszenia spirytystycznego. Chcę mianowicie udowodnić, że za moim pośrednictwem siły nasze wewnętrzne, czy duch, jak kto woli — potrafią przenieść przedmioty z jednego miejsca na drugie, choćby dostęp do tych przedmiotów był zupełnie niemożliwy.

— Ten oto mały pokoik, — Fieldertown wskazał przy tym na zasłonięte kotarą drzwi — nie ma innego ani wyjścia, ani wejścia, jak tylko przez właśnie drzwi. Drzwi te zostawimy uchylone, a otwór, jaki tworzą one w murze — zakratujemy, że się tak wyrażę — paskami papieru. Kwadrat, utworzony przez kraty będzie mierzył dwadzieścia centymetrów...

Fieldertown klasnął w dłonie.

Dwaj lokaje odsłoniли kotarę. U futryny drzwi, z jednej strony wisiały już paski. Zwisiały one również u góry futryny.

— Zechcą teraz państwo złożyć w puchar, jakiego nam gospodym raczyła udzielić — drobne przedmioty.

Postawimy te przedmioty w pucharze na stole w tamtym pokoju, a obok niego — płonąca świeca.

Lokaje obeszli z pucharem obecnych. Panie złożyły koleczki, panowie pierścionki i zegarki.

Fieldertown baczył, aby przedmioty nie były zbyt wielkie, jakby mu zależało na tym, aby były one właśnie małe. Gdy uznał, że jest ich dość — przerwał tę osobliwą zbiórke.

— Dziękuję, rzekł z niezwykłym dostojeństwem. — Oczywiście, że każde z państwa wie dokładnie, który przedmiot doń należy. Odpowiadam za te przedmioty honorem!

Ostatnie słowo wypowiedział z wielkim patosem i naciskiem.

Usadowił się potem na fotelu, uprosił, aby go związano jak należy, aby sprawdzono sznury, aby pod nogami położono czarny papier z rozsypaną mąką w ten sposób, że kontury jego kamaszy zazaczyły się na macie bardzo wyraźnie. Skolei lokaje umocowali ową papierową kratę.

Istotnie, nie tylko człowiek, ale nawet niemowlę nie przeszłoby przez te małe otwory w papierze.

— A... teraz... zechcą państwo zająć miejsca dookoła stołu. Proszę tylko dziesięć osób. Reszta państwa pozostanie na swych miejscach. Poproszę naszych stałych uczestników seansów...

Pod wodzą samej gospodyni dziesięć osób usadowiło się dookoła małego stolika.

— Czy już wszystko gotowe?

— Tak, — rzekła lady drżącym głosem.

— Gasimy światła! — rzekł grobowym głosem mistrz seansu.

Zapanowała ciemność. Rozległ się wśród głuchej, ciszy chrapliwy oddech medium. Stolik począł trzeszczeć i poruszać się.

Ciemność przecinała tylko skąpa smuga lichiego światła, idącego od szczeliny w drzwiach, wiedzących do pokoiku.

Nagle medium poczęło coś bełkotać.

Wszystkie głowy zwróciły się ku niemu.

— Zaraz.. Za-raz...

Wszyscy spoglądali na niego.

Zaraz... drzwi się... ot-wo-rza!

Wzrok obecnych skierował się ku drzwiom.

O dziwo! Widać było, jak się jedno skrzydło powoli odchyliło, odchyliło się samo, bez niczyjej pomocy.. W następnym momencie — w pokoiku zgasło światło.

Jeszcze przez kilka chwil słychać było charkot medium. Potem wszystko ucichło.

— Seans skończony! — rzekł teraz już naturalnym głosem mistrz Fieldertown.

— Zapalić światła! — wydała rozkaz służbie lady.

W sali zamkowej zajaśniało światło.

— Zechcą państwo nie opuszczać miejsc! Zaraz kończymy seans. Otóż nie tylko, że drzwi zostały rozchylone, ale proszę sprawdzić czy papier został tknięty i czy wszystkie przedmioty są na swym miejscu w pucharze.

Wszyscy powstali z miejsc.

Roziegły się oklaski i okrzyki zdumienia. Paski papieru zamykające drzwi były nietknięte, aie... kosztowności w pucharze nie było.

Fieldertown siedział wciąż nieruchomy i związany w swym fotelu.

— Proszę państwa — wszystkie te przedmioty są... u mnie. Proszę mnie tylko zwolnić z więzów i proszę sprawdzić, że nie ruszyłem się z miejsca!

Rozwiązano mistrza wiedzy tajemnej. Istotnie, w jego kieszeni leżały wszystkie przedmioty, które obecni własnoręcznie włożyli do pucharu, zabezpieczonego w sąsiednim pokoju.

Miłośnicy spirytyzmu otoczyli Fieldertowna i składali mu gratulacje.

Nagle ten, tak delikatny, zmęczony i uduchowiony mistrz, szarpnął się raz i drugi, począł się rozpętać łokciami jak zwykły ulicznik i wyzwoliwszy się w ten sposób z pośród otaczających go wielbicieli — wybiegł z sali.

Zdumieni tym nagłym przeobrażeniem baranka w wilka — obecni nie wiedzieli czemu to przypisać i rozglądali się bezradnie po sali.

U progu dojrzeli młodego lorda Petterville. Był on w towarzystwie siostry i wysokiego, niemłodego już człowieka o energicznych rysach i myślicym wyrazie twarzy.

— Co tu się stało? Kto jest ten pan, Henryku?

Zagadnięty obcesowo przez ciotkę młody lord, skłonił się obecnym i rzekł:

— Pozwolą państwo, że im przedstawię jednego z najsławniejszych ludzi Anglii: detektywa Harry Dicksona

— Bardzo się cieszę, — rzekła bez entuzjazmu lady. — Ale czemu mam przypisać przyjemność goszczenia u siebie detektywa Dicksona?

— Nie „czemu“, ale „komu“! Tym kimś jest złoczyńca niezwykle wyrafinowany, oszust, jakich mało, bandyta i włamywacz w jednej osobie — Mr. Yorick Fieldertown!

Szmer niezadowolonia, a może i zdumienia rozległ się wśród obecnych.

— Ten człowiek nasłał na mnie bandytów, którzy mnie chcieli zamordować! — rzekł młody lord.

— Mr. Dickson uratował nam życie! — dodała młoda dziewczyna.

— D'a tego też miał Mr. Fieldertown taką wizję, podczas, gdy duch jego odłączył się od ciała!...

— To Sir Douglans Blanc — jedyny w całym tym gronie sceptyk — z wyraźną ironią w tonie, naśladując nawet głos i wymowę oszusta — przytoczył własne słowa szarlatana.

Lady Pambroke zbladła. Dopiero w tej chwili przekonała się, że padła ofiarą oszusta.

Nie wiedziała tylko w jaki sposób była oszukiwana. Pod tym względem złożył jej obszernie wyjaśnienie Dickson.

## Wyrwani z onieję śmierci

Wróćmy teraz na chwilę do momentu, w którym Harry Dickson pod wpływem ciosu w głowę padł na środku jezdni tuż przed samym domem przy Baker Street.

Gdy po kilku chwilach odzyskał przytomność, ujrzał nad sobą szofera który groził mu pięścią i krzychał:

— Nauczę ja cię strzelać na ulicy! Do policji ze mną! Jazda!

Ale gdy tylko szofer poznał swą ofiarę, zbladł i pomógł Dicksonowi wstać:

— A niech-że to! To ja Harry Dicksona tak zdzieiłem? A tom wpadł!...

Szofer począł przeproszać detektywa, ale Dickson podniósł się i krzyknął:

— Prędeż! Jedziemy! Goń pan tego motocyklistę! O reszcie pomówimy później!

Szofer nie dał sobie tego dwa razy powtórzyć. Wóz ruszył we wściekłym tempie.

Po paru minutach mieli już motocyklistę na widoku. Dickson kazał teraz zwolnić biegu. Chciał go stale obserwować, ale w ten sposób, aby samemu nie zostać spostrzeżonym.

Motocyklista wyjechał za miasto i skierował się na drogę w stronę Tilehurst.

Gdy znalazł się już niedaleko Pangbourne — zatrzymał się przed ładnym dworkiem, jakich wiele wznosi się w tej pięknej, a tak bliskiej okolicy Londynu.

Gdy motocyklista zapukał do drzwi, Harry Dickson polecił szoferowi minąć go i jechać dalej. Zatrzymał wóz dopiero o kilkaset metrów dalej, za skrzyżowaniem.

Skradając się wzdłuż rowu przydrożnego Harry Dickson wracał teraz ku domowi, do którego wszedł motocyklista.

Nagle uszu detektywa dobiegło głośnie krakanie wrony. Trzykrotnie odezwał się ten zew, donośnie i gdzieś w pobliżu.

— Tom jest tutaj, — rzekł do siebie detektyw, rozglądając się wokół. Skąd się ten chłopak tu wziął?... I gdzie jest?

Wrona znów zakrakala.

Dickson daremnie się rozglądał za swym uczniem. Nie mógł go dojrzeć.

Nagle rozległ się głos Toma:

— Niech pan nie podnosi się z rowu, mistrzu. Bandyci wystawili posterunki na balkonie. W każdej chwili mogą pana dojrzeć!

— Jakżeś się tu dostał, my boy? Jakaś ich odkrył?

— Przyjechali samochodem, a ja z nimi.

— Zaprosili cię do wozu?

— Sam się zaprosiłem. Uczepiłem się kufra z tyłu i tak przyjechałem.

— Brawo!

— Myślałem przez cały czas jakby się tu dostać do tej willi. Jesteśmy obaj pod murem w rowie — dla tego nas wartownik z balkonu nie dostrzega. Zresztą patrzy on na szosę w stronę miasta. Obejść moglibyśmy całą posesję od tyłu z łatwością. Tylko że tam mur jest wysoki.

— Czy ten mur nie wychodzi na wąską uliczkę, równoległą do szosy?

— Tak jest, mistrzu.

— W takim razie przedostaniemy się przez ten mur śpiewając.

Dickson zawrócił, tym razem już wraz z Tomem Willsem, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, ku taksówce, którą przyjechał.

Okazało się, że równoległe do szosy biegła na znacznej długości ulica.

Taksówka za skrzyżowaniem wjechała w ową ulicę i jakby nigdy nic, zatrzymała się u muru posesji, w której więzieni byli rodzeństwo.

— Właż na dach, Tomku!

Tom, zręczny jak akrobata, w jednej chwili znalazł się na dachu limuzyny.

Dickson dostał od szofera kilka metrów liny używanej do holowania wozu.

Tom znalazł się na szczycie muru. Detektyw, stojący na dole, rzucił mu linę. Po tej linie wspinał się Dickson na mur. Zeskoczyli obaj już bez trudności wprost do parku.

Trzeba teraz było mieć się na baczności. W każdej chwili mogli się skądś wyłonić bandyci. Tak też, podobnie, jak żołnierze uderzają na wroga w tyralierę — tak i Dickson postanowił, aby nie szedł z Tomem obok siebie, lecz zachowali między sobą stosunkowo większy dystans.

Drzwi tylne, wiodące do willi były otwarte. W chwili, gdy rozglądając się na wsze strony Dickson zamierzał wejść na klatkę schodową — dosłyszał przenikliwy krzyk niewieści, a po nim głos ochrypli męski:

— Jazda! Nie patyczkuj się z nią!

— Zaraz, zaraz, — odezwał się inny głos, uspakajający.

— Nie zaraz, tylko już! Wiazać ją i na dół — do piwnicy!

Detektyw był już u drzwi. Wiedział o kogo chodzi. To młoda siostra lorda Petterville wzywała pomocy.

Trzeba było działać jak najszybciej. Tylko atak gwałtowny i niespodziewany mógł być skuteczny.

Dickson lekko nacisnął kłamkę. Drzwi były otwarte. Uchylił je, zajrzał w głąb pokoju i, przekonawszy się, że obaj zbrodniarze, pochyleni nad swą ofiarą, odwróceni są do drzwi tyłem, detektyw z odległości kilku kroków zmierzył w nogę jednego ze zbrojnych.

W ostatniej chwili, gdy Dickson już pociągał za cyngiel — opuścił broń. Nie umiał strzelać z tyłu, nie umiał czynić użytku z broni inaczej, niż w obronie własnego życia, lub cudzego. A tutaj były jeszcze inne możliwości.

Dickson dobył drugi rewolwer i, wypaliwszy z obu w sufit, zagrzmiał:

— Ręce do góry!

Skutek był piorunujący.

Dwaj zbrojnicy, chłopcy na schwał, zerwali się i steroryzowani, podnieśli ręce.

— Dickson!... — dobył się z ich ust jednoczesny szep.

— Tak, Dickson! — powtórzył detektyw. — Aresztuję was w imieniu króla!

Detektyw zbliżył się do obu swych więźniów, aby im założyć kajdany. Ale w tym samym momencie usłyszał za sobą jakieś gwałtowne kroki.

Był pewien, że to Tom się zbliża. Nie chciał się odwracać, aby nie tracić ani na chwilę z oczu bandytów. Krzyknął tylko:

— Do mnie, Tom!

Ten okrzyk był ratunkiem Dicksona.

— Nie Tom bowiem, ale trzeci ze zbrojnych wbiegł do pokoju i dojrzawszy co się dzieje, skradł się teraz do Dicksona z podniesionym do góry krzesłem, aby go zwalić z nóg. Czynił to cicho, w obawie, że Dickson gotów wystrzelić.

Tom był na schodach, gdy Dickson go wezwał.

Młody człowiek jednym susem wskoczył do pokoju. Oceniał sytuację jednym rzutem oka i widząc, że jest za późno na choćby pół kroku, wypalił.

— Za tobą! Z tyłu! Obejrzyj się!

Dwaj bandyci, stojący ciągle z podniesionymi rękami wrzasnęli, gotowi w każdej chwili, aby depaść do gardła detektywa.

Ten okrzyk zamarł w ich piersiach, gdyż w tej samej chwili rozległ się huk wystrzału. Trzeci bandyta z przestrzelonym ramieniem, zwałił się na podłogę. Upadające krzesło spowodowało potężny loskot.

Wszystko to działo się w ciągu dwóch, trzech sekund zaledwie.

Dickson nie stracił ani na chwilę zimnej krwi i nie spuścił z oka dwóch ludzi, których trzymał pod łufą swego rewolweru.

Kajdany zamknęły się u ich kiści. Trzeci złooczyńca został opatrzony przez Toma. Był to, oczywiście, opatrunek prowizoryczny. Karetka policji, wezwana po kilkunastu minutach, przewiozła ranego do ambulatorium więziennego.

Oczywista, że Dickson, gdy tylko kajdany zatrzasnęły się na rękach ujętych — zajął się młodą arystokratką. Była ona nawpół przytomna. Lęk śmiertelny doprowadził ją do omdlenia prawie.

Detektyw natarł skronie dziewczyny solami trzeźwiącymi, z którymi się nigdy nie rozstawał. Po chwili otworzyła oczy.

— Mr. Dickson, — rzekła. — To pan mnie uratował. Kiedy i jak się panu odwdzięczę?...

— Nie czas teraz na te sprawy, gdzie brat pani, — przerwał jej detektyw.

— Na dole, w piwnicy.

Tom zbiegł czymprędzej na dół.

Lord, złożony na mokrej ziemi w piwnicy, drżał z zimna. Ale ten dzielny młodzieniec nie stracił ani na chwilę otuchy.

— Mr. Wills! — wiedziałem, że przyjdziecie nam z pomocą.

— A to w jaki sposób?..

— Przecież Harry Dickson widział moment naszego porwania. To mi wystarczyło, aby wiedzieć napewno, że minuty naszych porywaczy są policzone.

— Inna sprawa, że gotów się pan tutaj zająć, — rzekł Tom.

— Za mały katar ludzi, którym ocalił życie, chyba Harry Dickson nie odpowiada, — rzekł lord z humorem.

Lord wbiegł wraz z Tomem na górę. Rodzeństwo znów poczęło wyrażać detektywowi swą gorącą wdzięczność.

— Dajmy spokój tym wylewom uczuć moi państwo. Nie czuje się tutaj wcale bezpieczny. Dobrze będzie, gdy się stąd jak najprędzej wyniesiemy. Lada chwila mogą przybyć inni członkowie bandy, napewno bardzo licznej.

Dickson nie zdążył skończyć zdania, gdy uszu ich doszedł sygnał samochodu policyjnego.

— Jada! Pewnie i Goodfield jedzie z nimi. Obiecał przez telefon, że przyjedzie.

Tom uśmiechnął się. Był szczerze zaprzyjaźniony z intendentem Scotland Yardu Goodfieldem, bardzo poczytany, choć nie zawsze szczęśliwym w swym posunięciach, szefem wydziału pościgowego.

Otulała twarz i okragła sylwetka Goodfielda widoczna była już zdaleka z balkonu, na który wybiegł Tom.

— Ta kryjówka zostanie zlikwidowana do reszty, — rzekł Dickson. — Możemy się szykować do miasta. Wóz, który nas tu przywiózł, czeka na dole.

Intendent uściśnił serdecznie dłoń detektywa i poklepał Toma po ojcowsku po ramieniu.

— Już uciekacie? — dziwił się Goodfield.

— Potrzebni ci jesteśmy? — rzekł Dickson.

— A przesłuchanie lorda?...

— Dickson uderzył się w czoło.

— Dalibóg, że się zaczynam starzeć! Zapomniałem na śmierć, że lord może coś nie coś słyszał, co by nas mogło zainteresować, coś co mówili ci bandyci po drodze.

Młody lord jakby czekał na te pytania. Zaczął od razu:

— Wiem, proszę panów, z czyjego polecenia działali ci ludzie.

Harry Dickson skinął potakująco głową.

— Jak zwykle, — uśmiechnął się Goodfield — mój Dickson wiedział już o tym wcześniej choć wcale nie siedział z nimi w jednym samochodzie. Gadaj zatem — kto jest hersztem tej bandy?

— Yorick Fieldertown.

Lord był zdumiony i oczarowany.

— Tak jest, tak jest. Poco panu pamięć, skoro ma pan genialny umysł. Poco ma pan pamiętać o przesłuchaniu, skoro wie pan więcej niż przesłuchiwany?

Dickson machnął dłonią.

— Nie przesadzajmy, — rzekł. — Słucham pana. O czym mówili ci ludzie?

— Mówili, że im Fieldertown przyrzekł po sto funtów na ten czyn, a nie teraz, tylko za kilkanaście dni, jak tylko — jak powiedzieli — „oskubią starą“.

— Ta „stara“, to pańska czcigodna ciotka, lady Pembroke.

— Nie inaczej. Właśnie teraz odbywa się u ciotki seans. Fieldertown przygotowuje się do wyłudzenia od ciotki jej majątku.

Detektyw zerwał się nagle na równe nogi.

— W tej chwili jest seans, powiada pan? Jedziemy zatem. Zmaterializujemy ducha Fieldertowna i zakujemy go w kajdanki, aby nie ulotnił się z więzienia.

Taksówka, którą detektyw przyjechał, stała na szosie, gotowa do drogi. Szoferzy — to najcierpliwszi ludzie na świecie.

— Jedziemy do miasta! — rzucił Dickson, ale szybko!

Gdy zatrzymali się przed zamkiem — detektyw wyjął z portfela grubszy banknot i wręczył go szoferowi ze słowami:

— Tu pan ma spory napiwek. Nie za to, że mnie pan tak rąbnął, tylko za to, że znalazł się pan tak szybko na miejscu.

Szofer mruknął skonfundowany:

— Jeszcze raz przepraszam pana.

— Nic nie szkodzi. Zapewniam pana, że ten cios zostanie zwrócony odpowiedniemu opryszkowi w najbliższej przyszłości.

Dickson postawił Toma przed domem, aby odstąpił Fieldertownowi odwrót, sam zaś z młodym lordem wszedł do zamku.

Wiemy już, że w ostatniej chwili bandyta zdołał zbiec.

Przez długie tygodnie szukał go Dickson daremnie. Ale mimo to detektyw był dobrej myśli. Osoba Fieldertowna była bowiem w jego przekonaniu ogniwiem, łączącym sprawę kradzieży w Banku Ziemskim i próbę oszustwa Lady Pembroke. — w jedna nierozdzielna całość.

## Noc w zamku

Na zachód od Londynu, w dolinie Tamizy, wznosi się zamek Windsor, prastara siedziba królów Anglii.

Oddawna, ten właśnie zamek jest najulubiejszą rezydencją monarchów, którzy tutaj, a nie gdzieindziej wyдают przyjęcia rodzinne i spędzają wolne chwile.

W zamku czynione były właśnie na szeroka skalę zakrojone przygotowania. Do Anglii przybył książę cudzoziemski, spokrewniony z angielskim domem panującym. Celem przyjęcia tego dostojnego gościa — w wielkiej sali zamku zdejmowała służba portrety rodowe, obrazy największych mistrzów oraz wspaniałe świeczniki, przymocowane do ściany.

Dlaczego aż tak daleko idące zmiany czynili gospodarze w urządzeniu swej sali? Czyżby portrety i ozdoby na ścianach nie były godne gościa?...

Czytelnik domyśla się celu tych przygotowań.

Oto książę był wielkim miłośnikiem spirytyzmu. Ponieważ i w domu panującym, t. j. w rodzinie gospodarzy, nie brakowało zainteresowań dla tych spraw — tedy aby uczcić gościa — postanowiono odbyć seans spirytystyczny tym bardziej, że w Londynie przebywał akurat profesor Sarducci.

Kim był profesor Sarducci?...

Jedno z pism londyńskich informowało swych czytelników, że profesor Sarducci, Włoch, ale od lat osiadły w Indiach — tam właśnie zdobył swą wiedzę metapsychiczną, a uzyskawszy w tej dziedzinie biegłość niezwykłą — został nawet mianowany honorowym profesorem indyjskiej uczelni, kształcącej fakirów i magów. Tytuł profesora może w pojęciu europejskim nie miał wielkiego znaczenia, ale świadczył o wielkich kwalifikacjach Włocha w dziedzinie wiedzy tajemnej.

Ten właśnie profesor życzył sobie, aby sala była w ten sposób ogołocoła i aby jej ściany zostały okryte ciemną draperią.

Profesor sam doglądał przygotowań do seansu. Po środku wielkiej sali zamkowej ustawiona została estrada, a na niej rodzaj znicza.

Ciemny szeroki chodnik wiodł ku drzwiom wyjściowym przez całą długość sali.

★

Od czasu, gdy Yorick Fieldertown zdołał się w ostatniej chwili wymknąć z rąk detektywa, minął rok. Dickson zrezygnował i uznał się za pokonanego. Ani sprawa kradzieży w banku, ani poszukiwania za Fieldertownem nie ruszyły naprzód.

Owego wieczoru detektyw, zaproszony przez intendenta zamku w Windsor słuchał skarg tego wysokiego funkcjonariusza dworskiego:

— W panu jedyna moja nadzieja. Mr Dickson. Kradzieże w zamku nie ustają. Nie wiem, kto jest

ich sprawcą. Trwa to już od roku i na ślad złodzieja, czy złodziej nie mogą natrafić. Dlatego proszę pana o przybycie i proszę o pomoc.

— Czy dawniej nie stwierdził pan kradzieży w zamku?

— Dawniej, t. j. przed rokiem, kradzieże nie były rzadkością, ale były to kradzieże drobne. Nie sposób usztyżać się od nieuczciwego służącego, gdy ma się ich tylu pod sobą. Raz ginęła łyżka srebrna, innym razem — talerz kryształowy, czasem nawet talerzyk złoty. To kradł złodziej domowy. Brak się dopełniało i sprawa kończyła się na moim gniewie. Ale teraz...

Intendent westchnął ciężko.

— Co teraz, panie intendencie?

— Teraz zastawy królewskie, najcenniejsze brązy i t. p. przedmioty — stały się po prostu celem zorganizowanych grabieży. Gdy mam większe przyjęcie i gdy występuję z nakryciami srebrnymi lub złotymi — drzę, że zastanę ich ilość po kilku godzinach zmniejszoną do połowy! Ponadto okradani są sami goście! Kosztowności naszych gości nie są bezpieczne. Rozumie pan, że ja do tego nie mogę dopuścić, choćbym miał po trzech ludzi postawić na straży przed pokojem każdego z naszych dostojnych gości!...

— Czy ma pan dziś podstawy do obaw specjalnych?

— Owszem. Dziś mamy bowiem seans spirytystyczny. Sala i połowa zamku tonąć będą w ciemnościach. Ja sam muszę asystować przy tym spektaklu. A tymczasem złodzieje będą mi hulali!

Harry Dickson słuchał tych słów z przymkniętymi oczami. Jakby był bliski zaśnięcia. I tym samym śpiącym tonem zagadnął intendenta:

— Czy ma pan pułapki na szczury?

— Co takiego?

— Czy ma pan pułapki na szczury, pytam.

— Na szczury?...

— Tak jest. Ale wolałbym takie, aby były ~~hien~~ przynęty. Po prostu ustawia się pułapkę w odpowiednim miejscu, szczur jej dotyka i... siedzi!

Dickson jakby się zlekka ożywił.

— Nie mamy pułapek na szczury, ale możemy je mieć, jeżeli pan sobie życzy koniecznie..

Intendent był widocznie rozczarowany..

— Zechce pan się o nie postarać. I wybaczy pan, że nie podam mu powodu, dla którego są ~~mi~~ te pułapki potrzebne.

— Czy musi pan być obecny na seansie?

— Właśnie i o to chciałem pana prosić, panie intendencie.

— Seans odbywa się w ścisłym gronie. Nie wiem, czy będę mógł pana do sali wprowadzić.

Intendent był mocno zakłopotany. Jak tu wprowadzić do tak zamkniętego grona osobę niezaproszoną?...

— Niech pan nie zapomina, ekscelencjo, — rzekł z naciskiem Dickson — że choć jestem nieproszony, ale jestem więcej powołany na tym miejscu, niż liczni inni goście.

Detektyw opowiedział intendentowi szczegóły ucieczki Fieldertowna i wyraził przypuszczenie, że pod maską owego Włocha — kryje się znów ten sam od roku już poszukiwany oszust i herszt bandytów.

— Moim celem jest unieszkodliwienie zło-  
cy. W tej misji musi mi być pan pomocny — zakończył Dickson — choćby kosztem ominięcia etykiety.

Intendent słuchał detektywa z szeroko rozwar-  
tymi oczami.

— Jeśli to ten sam człowiek, dla czego nie za-  
aresztuje go pan natychmiast, choćby w tej chwili? I po co panu te pułapki na szczury?

— Właśnie przez te pułapki chciałem go ująć  
na gorącym uczynku, w ostatniej chwili, w trakcie  
samego seansu. Zresztą, a nuż się mylę?... Pułap-  
ka da mi pewność że omyłki nie ma.

— Jak tu pana wprowadzić?... — zastanawiał  
się intendent. — Uprzedzić mistrza ceremonii... Go-  
tów się zaniepokoić i odwołać w ogóle seans.

— Czy nie ma pan śród obecnych osoby, cieszą-  
cej się pańskim całkowitym zaufaniem, ekscelencjo?

— Owszem, mam. Tą osobą jest mój zięć —  
porucznik gwardii konnej. Zięć mój będzie asysto-  
wał podczas seansu.

— Zatem poprosimy go, aby mi swego miejsca  
i swego munduru ustąpił.

— Uprosimy go o to. Nie odmówi chyba.

Gdy młody oficer przybył do zamku, Dickson  
i intendent przystąpili doń ze swym projektem.

Oficer nie wahał się długo. Miał jedno tylko  
zastrzeżenie:

— Niech się pan przyjrzy mojej twarzy i potem  
spójrzy w lustro. Przecież każdy pozna, że to nie ja.

Detektyw uśmiechnął się:

— To drobnostka. Za kwadrans przekona się  
pan, że ten szkopuł jest nieistotny. Na razie zamie-  
nimy się ubraniami.

Dickson i detektyw weszli do sypialni inten-  
denta.

Po dziesięciu minutach wyszli obaj.

Intendent był olśniony:

— Gdyby mój zięć nie stał przy mnie, byłbym  
pewien, że to pan nim jest, mr Dickson.

Profesor wszedł po czarnym chodniku na  
wzniesienie i stanął przy zniczu. Skłonił się głębo-  
ko i począł:

— Wiem, że w prześwietnym tym gronie nie  
brak osób nie znających spirytyzmu i żywiących  
wiele wątpliwości co do mej wiedzy.

Uczony powiódł wzrokiem po obecnych, popra-  
wił purpurową togę na ramiionach i ciągnął dalej:

— Aby właśnie tych z państwa przekonać od  
razu — zaprezentuję im coś, co uważam za najkapi-  
talniejsze w całym spirytyzmie. Jest to, mianowi-  
cie, działanie na odległość.

Tutaj rozpoczęły się przygotowania identyczne  
z tymi, jakie przed rokiem czyniono w zamku lady  
Pembroke.

Tym razem jednak ów puchar, w którym miały  
być złożone przedmioty, nie znajdował się za zam-  
kniętymi drzwiami, lecz był ustawiony na dru-  
gim końcu sali. Sam zaś „profesor“, przywiązany  
jak najdokładniej — po kilku zakłęciach począł niby  
to zapadać w trans.

Rozległ się jego głęboki, świszczący oddech  
i słowa, wypowiedziane chrapliwym głosem:

— Proszę zgasić... światło...

Światło zgasło. W ciemności słychać było tyl-  
ko oddech „profesora“.

Właśnie począł się z jego ust dobywać jakiś  
bełkot, gdy w głębi sali rozległ się szcęk metalicz-  
ny, następnie pisk i krzyk nieartykułowany, a wre-  
szcie dziwne odgłosy, jakby ktoś włókł jakiś przed-  
miot metalowy po podłodze.

— Światło! — krzyknął intendent

Zajaśniało światło.

Przerażeni goście ujrzeli porucznika gwardii  
królewskiej, zrywającego sztuczną brodę rzekome-  
mu profesorowi włoskiemu.

— Fieldertown! Aresztuję cię! Ośmieliłeś się  
i tutaj próbować swych szalbierstw. Czeka cię su-  
rowa kara!

Nieruchomego złoczyńcę skuł Dickson w kajda-  
ny i dopiero potem zwolnił go z pęt.

Z ust ochmistrza dworu usłyszał Dickson szcze-  
rą i serdeczną pochwałę.

Detektyw skłonił się nisko.

— Winszuję panu tego sukcesu, mr Dickson —  
mówił ochmistrz. — Ale mimo to, przyzna pan chy-  
ba, że Fieldertown, przestępca niewątpliwy, jest  
jednocześnie człowiekiem obdarzonym siłą, jakiej  
my nie posiadamy...

— Czy Ekscelencja ma na myśli pokaz działania  
na odległość?

— Tak jest. Widziałem już to zjawisko dwu-  
krotnie. Przyznaję, że jest to fenomen jedyny  
w swoim rodzaju.

— I ja tak sędzę. Choć stwierdzić trzeba, że  
występuje tu duch bardzo oryginalny. Duch czwo-  
ronożny. Oto on!

Dickson dobył z kieszeni munduru... małąkę.

— To jest sprawca owych cudów. Ta małąka,  
zmyślna i cicha jak „duch“ — wybierała z pucharu  
kosztowności i kładła je swemu panu do kieszeni.  
Potem kryła się w kąciuku, aby do niego wrócić na  
pierwsze wezwanie.

— Byliśmy zatem na pokazie nie „duchów“, ale  
po prostu na małym spektaklu! — roześmiał się ser-  
decznie ochmistrz.

— Gdy ogólny śmiech ucichł — zabrał znów  
głos detektyw:

— Nie na tym koniec. Ta małąka, to złodziej  
recydywista. Wytresowana przez tego tu złoczyń-  
cę, dostała się przez kraty do pokoju kasowego  
w Banku Ziemijskim. Weszła po drzewie, przeko-  
czyła na ramę otwartego okna i dostała się do środ-  
ka.

Fieldertown, słysząc te słowa, opuścił głowę.

— Fieldertown, oczyść swe sumienie i po-  
twierdź moje słowa! — rzekł Dickson.

Złoczyńca rzucił na detektywa spojrzenie pełne  
nienawiści:

— Tak jest, tak było..

— I małąka wylała klej. Na zastygły klej poło-  
żyła potem swą łapę. I ten ślad nie uszedł mego



oka. Fieldertown — zwrócił się doń detektyw — czy mała miała zaklejoną łapę?

— Tak... — odparł głucho ziocezy.

— Od tej chwili wiedziałem już, że nie Moorin dokonał tej kradzieży. Dziś, gdy tę małą mam w ręku — ogłoszę w pismach wezwanie do Moorina, aby wrócił do stęsknionej żony i matki.

Dickson skłonił się głęboko. Uważał, że jest w tym dostojnym gronie zbyt cenny.

Ale intendent zatrzymał go i zwrócił się jednocześnie do ochmistrza:

— Czy wolno będzie mr Dicksonowi pozostać jeszcze czas jakiś w zamku, aby wykryć złodziei, którzy nekają mnie już od dawna?

Ochmistrz skinął głową:

— Mr Harry Dickson, kawaler Pouwazki III-ej klasy ma wstęp do zamku wolny w każdej chwili i wolno mu w nim przebywać kiedy i jak długo zechce.

Usłyszawszy o odznaczeniu wszyscy wstali z miejsc.

Odznaczenie, udzielone przez króla Dicksonowi było niezwykle wysokie, przyznawane tylko ministrom i posłom zagranicznym.

Dumny i szczęśliwy — Dickson zwrócił się do intendenta.

— Nie przypuszczam, by nam Fieldertown odmówił tej informacji. Bo przecież jasną jest rzecza, że tych kradzieży dokonywano w znowie z nim. Nieprawda, mistrzu?

— Prawda?

— Kto kradł? Jestem pewien, że dzięki tym zeznaniom zarobi pan sobie na znacznie łagodniejszy wyrok. Jak się nazywają złodzieje?

— Swallow i Birk.

— Swallow i Birk! — powtórzył intendent. — To nie do wiary.

— Łup jeszcze nie został wyniesiony. Prawie wszystko jest w celi więzowej.

Intendent pobiegł ku drzwiom. Zatrzymał go ochmistrz:

— Pójdziemy razem z panem, ekscelencjo. Będziemy mieli inny nieco seans, ale również interesujący.

— Wszyscy już zmierzali ku wyjściu, gdy odezwał się Dickson:

— Czy wolno mi udzielić Ekscelencji rady?

— Słuchamy pana, mr Dickson, odezwał się ochmistrz.

— Nim pójdziemy na górę — zatrzymajmy lepiej tych dwóch panów. Potem będzie zapóźno. Jakie funkcje mają przy stole ci dwaj ludzie?

— Swallow nalewa wino, Birk dogląda świec — odparł intendent.

Dickson umieścił Fieldertowna za kotarą, po czym zwrócił się do intendenta:

— Zechce ich pan obu tu wezwać, ale nie jednocześnie. Na razie da pan znak, aby podano porto.

Swallow wszedł pierwszy. Niósł z majestatycznym gestem wino na tacy. Za nim kroczyli młodsi lokaje z kieliszkami.

Kieliszki zostały ustawione przed każdym z gości na małych stolczkach.

Swallow podniósł butelkę, aby napelnić kieliszek ochmistrza.

Z szybkością błyskawicy zatrzasnęły się na rękach lokaja kajdany.

Swallow znalazł się obok Fieldertowna.

— Wydałeś mnie, lotrze! — krzyczał lokaj.

— Gdybym cię nie wydał, też by cię to nie minęło — rzekł mistrz czarnej magii. — Człowieku, zrozum, że mieliśmy przeciwko sobie Harry Dicksona.

— A co z Birkiem? — zagadnął swego kompana lokaj.



Obstrukcja niszczy organizm. Pozostałości pokarmów w żołądku i przewodzie pokarmowym są niebezpiecznymi składnikami, zatruwającymi nasz organizm. Przeczyszczające zioła „ASMIDAR“ działają szybko i pewnie. Nie zwlekajcie i dziś jeszcze kupcie torebkę ziół „ASMIDAR“ za 25 groszy. Do nabycia we wszystkich aptekach i drogeriach

— I na niego przyszedł kres — odparł Fieldertown.

Istotnie po kilku minutach do tej zacnej kompanii przybył i Birk.

★

W celi więzowej znaleziono cały skład skradzionej zastawy i bardzo cennych przedmiotów, pochodzących z inwentarza zamku.

Dzięki Harry Dicksonowi i te rzeczy zostały zwrócone prawemu właścicielowi.

## Epilog

Już w dwa dni po tych wydarzeniach ukazało się w „Times” następujące ogłoszenie:

**Cheffield Moorin, zbiegły, jako podejrzany o kradzież w Banku Ziemskim, może wrócić do kraju. Winny został ujęty. Sprawa przeciwko Moorinowi umorzona.**

**HARRY DICKSON, detektyw.**

Ogłoszenie to ukazało się w czwartek. W niedzielę rano, około godziny 10-ej, gdy Harry Dickson i Tom Wills zażywali dobrze zasłużonego odpoczynku, rozległ się jakby lękliwy dzwonek u drzwi wejściowych.

Po chwili mrs Crown zameldowała:

— Jakiś pan. Mizerny i blady. Powiada, że naskutek ogłoszenia. Nazywa się, jak te papierosy.

— Co za papierosy?

— Te, co pan Tom pali.

— Chesterfield?

— Tak jest. Chesterfield.

Detektyw roześmiał się serdecznie:

— Niech pani poprosi mr Sheffield Moorina, aby poczekał.

— O, o — rzekła pocziwa mrs Crown. — Tak się właśnie nazywał.

— Tomku — rzucił detektyw — zadzwoń do pani Moorin. Czy nie mogłaby tu być za godzinę?...

**Cud techniki nowoczesnej**



**Automat-Pistolet „Grom” kal. 6 m/m —**

jest uznany przez zawodców za najlepszy. Zabezpiecza od mimowolnego strzału. System belgijski. pięknie oksydowany. Repetuje się przed strzałem automatycznie wyrzuca gilzy. Huk kołosalny. Wykonanie luksusowe. Rekojeść wykładane masą bakelitową. Waga 200 gramów, długość 100 m/m., wysokość 65 m/m. Idealna obrona przed napadem i kradzieżą. Cena zł. 6.95. Dwie sztuki zł. 13.50. Sętka naboju system „Flobert” zł. 3.65. Pozwolenie niepotrzebne. Wysyłamy na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze. — Adresulcie: Przedst. Fabr. Pistoletów

**Kazimierz Kołodziejczyk** oddz. 2  
Warszawa, I. Pl. Napol. skrz. poczt. 700 H. D.

Tom, wysoce uradowany, pobiegł do telefonu.

— Pani Moorin pyta, czy nie mogłaby być u nas za pół godziny.

— Dobrze. Tylko teraz szybko do ubierania!

★

Po kilkunastu minutach już Harry Dickson i jego nieodstępny uczeń i pomocnik Tom Wills byli gotowi

Mrs. Crown czatowała na detektywa i zasta-

ła mu drogę, gdy zmierzał do salonu:

— Wiedziałam, że tak będzie, — żaliła się. — Zacznie się teraz rozmowa na całe godziny z tym panem, co się nazywa jak te papierosy, a moja kawa tymczasem przepadnie.

Dickson był od rana w doskonałym humorze.

— Przepadnie? — przekomarzał się ze swą gospodynią, — przepadnie powiada pani?... Jeżeli przepadnie, to zwróci się pani do detektywa Harry Dicksona, do którego ma pani wcale nie daleko, a Harry Dickson już tę zaginioną kawę odnajdzie.

Mrs. Crown nasrożyła się:

— Kawa — to nie człowiek! Jak raz przepadnie — to się już nie odnajdzie. Lura może się odnajdzie, ale dobra, pachnąca kawa — nigdy.

Detektyw na chwilę spoważniał:

— Ma pani rację. Powiem pani, że i człowiek, gdy raz przepadnie, już się taki sam nie odnajdzie... Zmarnieje, zniszczy przez okres ukrywania się, jak ta pani kawa. Proszę zatem podać jeszcze jedno nakrycie. Mr Moorin napije się z nami tej doskonałej kawy.

Detektyw wszedł do salonu.

Moorin, niegdyś człowiek kwitnącego zdrowia, był teraz tylko swym własnym cieniem.

Blady, wychudzony, z głęboko wpadniętymi oczami, wstał na powitanie i podszedł wolno do detektywa.

Uściskał podaną sobie rękę mocno i nagle, nim się Dickson zdołał zorientować, podniósł ją do swych ust.

— Co pan czyni, na Boga!

W oczach Moorina zabłyśły łzy.

— Nie wiem, jak mam panu dziękować! Zwrócił mi pan szczęście, honor i życie... Przez ten cały czas walczyłem ze sobą, by nie popełnić samobójstwa. Ale tylko obawa, że zejść z tego świata z piętnem złodzieja, powstrzymała mnie od tej myśli. Dziś jestem zrehabilitowany. Mam znów czyste ręce i wolno mi wszystkim ludziom spoglądać prosto w oczy. Wszystko to mam panu do zawdzięczenia, mr. Dickson.

Detektyw machnął ręką.

— Spełniłem tylko swój obowiązek, nic ponadto.

— Szczytny to obowiązek! Jest pan bojownikiem prawdy i sprawiedliwości, mr. Dickson.

— Dajmy spokój tym sprawom, — rzekł detektyw z właściwą sobie skromnością. — Napijemy się kawy, proszę do jadalni.

Moorin nie dał się prosić.

Zaczął przy kawie opowiadać o swych przeżyciach.

Nie wierzył swemu szczęściu, gdy przeczytał ogłoszenie. Wolał dla pewności przybyć wprost do mieszkania detektywa przy Baker Street, by dopiero stamtąd wrócić do swego domu!

Mrs. Moorin spieszyła się, bowiem przeczuwała, kogo ujrzy u detektywa. Omal nie zemdląła ze wzruszenia, gdy ujrzała swego od z górą roku zaginionego małżonka.

★

Fieldertown uniknął poważnej kary przede wszystkim dzięki temu, że ujawnił, gdzie przechowywał skradzione w banku pieniądze. Bank nie ponosił zatem żadnej straty.

Nazwisko Harry Dicksona w związku z tą sprawą stało się znów sławne, jak Anglia długa i szeroka. Nowy kawaler orderu Podwiązki odbierał depesze ze wszystkich stron świata.

KONIEC.

#### PAN I LOKAJ.

Pan Stypalski ostatnio bardzo się zбоżacił. Mieszka w nowoczesnej, pięknie urządzonej willi. Ma kucharkę, pokojówkę, lokaja i dwa pekińczyki, jedną książkę i aerodynamiczną limuzynę. Na obiad mówi „diner” a na kolację „souper”.

Pewnego dnia lokaj podaje mu listy.

— Franciszku — mówi do niego pan Stypalski — czy nie wiecie, że w wytwornych domach listy podaje się na tacy?  
— Wiem, jasnie panie — odpowiada zakłopotany Franciszek — ale myślałem, że pan nie wie...

#### Czarna i biała magia

Każdy, kto chce wzbudzić w sobie zainteresowanie w towarzystwie, może łatwo to uzyskać po przestudiowaniu naszego kursu magii, co jest obecnie dostępne dla wszystkich. Zbiór najciekawszych sztuk z zakresu mechaniki i zrzeczności. Czarodziejska tablica. Lustró magiczne. Półkanie ognia. Płonąca woda. Podnoszenie wielkich ciężarów. Śpiewająca flaszka. Jajo w butelce. Zaczarowana różdżka. Jak stać się niewidzialnym. Odnajdywanie ukrytych przedmiotów. Sztuki z rachunkami, z kartami. Seanse spirytystyczne. Każdy łatwo potrafi się nauczyć wszystkich sekretów. Wysyłamy łącznie z Czarną Magią różne ciekawe książki, komplet z 6 tomów z 478 sekretami i tajemnicami z ilustracjami za zł. 3.95. Wysyłamy na listowne zamówienie, które płaci się przy odbiorze. — Adresuj:

KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK oddz.

Warszawa, I, Pl. Napol. skrz. poczt. 700 H. D.

UWAGA: Bezpłatnie dodajemy książkę p. t. „Poznań siebie i bliźnich!!!” Jak wróżyć z ręki i z palców, najnowsze sposoby wróżenia.

#### PALACZE TYTONIU

Ratujcie zdrowie. Nikotyna zatruwa organizm



Możecie w sposób łatwy i przyjemny odzwyczaić się w ciągu 3-ch godzin od palenia. Zamówcie zaraz nasz wieczny papieros „IDEAL”, a ochronicie swe zdrowie przed niszczącym wpływem nikotyny. — Papieros „IDEAL” daje możliwość zaciągania się i oddziaływa zbawiennie na błonę śluzową nosa i gardła. „IDEAL” wzmacnia i krzepi organizm dając zadowolenie duchowe i fizyczne. Mnóstwo listów dziękczynnych. — Cena zł. 2.45. Płaci się przy odbiorze. Nie zwlekajcie! Zamówcie — póki nie jest zapóźno! Straconego zdrowia nie odzyskacie! Płaci się przy odbiorze. Wysyłamy na listowne zamówienie Adresuj:

Kazimierz Kołodziejczyk oddz. 2

Warszawa, I, Pl. Napol. skrz. poczt. 700 H. D.

#### KSIĄŻKI ZA BEZCEN!

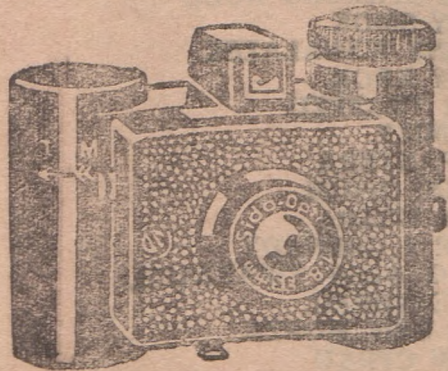


Z powodu dużego zapasu sprzedajemy najnowszy komplet książek bardzo tanio:

1) „Spowiedź” Szyllera-Szkolnika. Psychologiczne studium nad duszą człowieka. Jak zachowywać się w życiu, kiedy uniknąć zmartwień i chorób. 2) Zwycięstwo w miłości. Ciekawe studium nad kobietą. 3) Słownik wyrazów obcych, niezbędny w życiu społecznym, politycznym i codziennym. 14.000 wyrazów obcych z podaniem wymowy. 4) „Spotęgowanie Energii i Woli” Jak zostać silnym i zdrowym człowiekiem. Wzmacnianie woli i zdolności umysłowych za pomocą sugestii, magnetyzmu i hipnotyzmu. 5) Gra w szachy. Popularny wykład. Cena za cały komplet zł. 3.95. Wysyłamy na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze. — Adres:

KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK.

Warszawa, I, Pl. Napol. skrz. poczt. 700 H. D.



NAJMILSZYM TOWARZYSZEM JEST

#### APARAT FOTOGRAFICZNY

Każdy może tanim kosztem nabyć doskonały aparat fotograficzny „S I D A” A. Aparat ten z wbudowanym wizjerem optycznym posiada bardzo łatwą obsługę. Fotografować może nawet dziecko. Wyniki fotografowania doskonałe.

CENA REKLAMOWA ZŁ. 8.35,

wraz z błoną filmową na 10 zdjęć i pouczeniem. Futerał skórzany zł. 2.—. Wysyłamy na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze. Adresuj:

KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK,

WARSZAWA, Pl. Napoleona, skr. poczt. 700 H. D.

Następny **Nr. 17 Harry Dicksona**, który ukaże się we wtorek, dn. 27-go czerwca zawierać będzie przygodę pod tytułem:

## Tajemnica grobowca

CENA 10 GR.

CENA 10 GR.



# HARRY DICKSON

## PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

**Dofychezas ukazały się w sprzedaży następujące numery:**

- |                                    |                                |
|------------------------------------|--------------------------------|
| 1. „WYSPA GROZY“                   | 38. DUCH W ZAMCZYSKU.          |
| 2. „TAJEMNICA EGZOTYCZNEGO WŁADCY“ | 39. UPIÓR W TEATRZE            |
| 3. „ALARM W PRZESTWORZACH“         | 40. DEMON WIATRU.              |
| 4. „DOM NA MOCZARACH“              | 41. SOBOWTÓR.                  |
| 5. „LUDZIE BEZ ADRESU“             | 42. NIEWIDZIALNY MĘDRZEC.      |
| 6. „SZALONY BURMISTRZ“             | 43. DANCING NA BŁOTACH.        |
| 7. „GRAJĄCA WIEŻA“                 | 44. PRZEDZIWNY HOTEL.          |
| 8. „KRÓL NOCY“                     | 45. SREBRNA MASKA.             |
| 9. „POSEPNA KABAŁA“                | 46. SIEDEM KRZESEŁ.            |
| 10. „TAJEMNICZY TRYBUNAŁ“          | 47. DIABELSKI SKARB            |
| 11. „KORONKI KRÓLOWEJ“             | 48. KAT LONDYSKI.              |
| 12. „KAPIAŃKA OGŃIA“.              | 49. CZERWONY SUŁTAN.           |
| 13. DOM, W KTÓRYM STRASZY          | 50. PRZYGODA MALAJSKA.         |
| 14. ŻYJĄCY BUDDA                   | 51. SYNOWIE NOCY.              |
| 15. WIDMO TUŁACZA                  | 52. KRÓL ŻELAZA.               |
| 16. SKRADZIONY TESTAMENT           | 53. WALKA W TUNELU             |
| 17. DUCH ŚWIATŁA                   | 54. ZBRODNICZY AUTOMAT         |
| 18. CZERWONA DAMA                  | 55. TAJEMNICA PROFESORA FOXA   |
| 19. MIASTO PIRATÓW                 | 56. W PIASKACH SAHARY          |
| 20. POSTRACH LONDYNU               | 57. DWANAŚCIE SERC             |
| 21. TAJEMNICA ŁODZI PODWODNEJ      | 58. ŻYWY PORTRET               |
| 22. NIEBIESKI BOCIAN               | 59. ZAMEK NA SKAŁACH           |
| 23. ZAGINIONE KRÓLESTWO.           | 60. BAL MASKOWY                |
| 24. HAWAJSKI SZTYLET.              | 61. TRAGEDIA STAREGO RODU      |
| 25. WOSKOWE JABŁKO                 | 62. CZERWONY SMOK              |
| 26. WIELKA GRA.                    | 63. SKRADZIONY WYNAŁAZEK       |
| 27. HOTEL EMIGRANTÓW.              | 64. FAŁSZYWY KROK.             |
| 28. KRWAWY KLEJNOT                 | 65. KRÓLOWA TRAPEZU            |
| 29. SZTUCZNE ZŁOTO.                | 66. UPIÓR TAMIZY               |
| 30. CZARNY MŚCICIEL.               | 67. CZARNA PANTERA             |
| 31. KSIEŻYC BIRMAŃSKI.             | 68. W PALARNI OPIUM            |
| 32. POŻAR W MIASTECZKU.            | 69. BEZLUDNA WYSPA             |
| 33. ZŁOWIESZCZY ŚNIEG.             | 70. TOREADOR Z GRENADY         |
| 35. GWIAZDA POLARNA.               | 71. KOBIETA O 4-rech TWARZACH. |
| 36. KWADRATOWE OKNO.               | 72. NA WYSPIE KORFU.           |
| 37. WODNY CZART.                   | 73. SKARB NA DNIĘ MORZA        |
|                                    | 74. DRAMAT W CYRKU             |
|                                    | 75. CZERWONY RADZA.            |

Czytajcie

Czytaicie

# PRZYGODY HARRY DICKSONA

Cena 10.

Cena 10.

REDAKTOR: Antoni Weiss. — Odpow. za ogłoszenia i reklamy Konstanty Łosiew. Zamieszkał w Łodzi.  
WYDAWCA: Wydawnictwo „Republika” Sp. z ogr. odp. — Odbito w drukarni własnej. Łódź, ul. Piotrkowska 49 i 64.  
Konto P. K. O. 68,148. Adres Administracji: Łódź, Piotrkowska 49, tel. 122-14. Redakcji — tel. 136-56.





Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001024366463



2d1  
623405/76

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN